Nr. 12. We Lwowie, grudzień, 1922. Rok XLIII.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W grudniu wolno polować na wszelką zwierzynę łowną, prócz kuropatw.

Do członków! Wkładka członkoska M. T. Ł. na 1-szy kwartał r. 1923 wynosi 5.000 Mkp. Patrz ustęp p. t. „Sprawy Towarzystwa“ str. 11. i 12.

Cena pojedynczego egzemplarza 300 Mk. — Prenumerata na I kwartał r. 1923 — 2.000 Mk.
Ceny ogłoszeń: cała strona 80.000 Mk, 1/2 str. 40.000 Mk, 1/4 str. 20.000 Mk. 1/8 str. 10.000 Mk, 1/16 str. 5.000 Mk, 1/32 str. 2.500 Mk. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Mickiewicza l. 6. w podwórzu (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec“, Mickiewicza 6. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

TREŚĆ: Z wycieczki do Białowieży. — Z Mizunia (dokończenie). — Z obcych światów. (dokończenie). — Józef hr. Potocki (wspomnienie pośmiertne). — Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach. — Korespondencje. — Sprawy Towarzystwa. — Od Wydziału i Redakcji — Zasady poprawnej ortografji polskiej. — Odpowiedzi Redakcji.

WŁADYSŁAW GÜRTLER.

Z wycieczki do Białowieży.

Nawiązując do artykułu p. dra Sandera p. t. „Ostatnie żubry w Polsce“, drukowanego w n-rze 8. „Łowca“, pragnę uzupełnić go obszerniejszą wzmianką o samej Białowieży, którą zwiedziłem w sierpniu b. r. A zajmę się opisem nie tyle pierwotnej, przebogatej flory tego niezwykłego zakątka leśnego w Polsce, ile raczej szczegółowszą topografją i przyrodą puszczy.

Piękny ten zabytek pralasu, jakiego drugiego niema w środkowej Europie, chyli się dzisiaj ku upadkowi i to w każdym kierunku, a przedewszystkiem w gospodarczym i łowieckim.

Puszcza białowieska pochodzi jeszcze z czasów pierwszych Piastów, kiedy to połać północną ówczesnej Polski okrywały olbrzymie lasy, ciągnące od Bałtyku aż hen po Bug i Dniepr i kiedyto przekradali się przez nią do żyznej Małopolski dzicy Jadźwingowie po chleb i jeńca. Z tego szlaku leśnego pozostały do dziś tylko bory augustowskie, lasy w Białostockiem, Puszcza Białowieska i Bialska, już na lewym brzegu Bugu leżąca. Ale tylko w Białowieży przechowały się starce-dęby, pamiętające Jagiełłę.

Nazwa puszczy pochodzi zapewne od jakiegoś białego zamku z wieżą książąt litewskich, którego ślady w postaci fundamentów oglądać można w dzisiejszej wsi-Budach, odległej o jakie 5 km na południowy wschód od osady Białowieży. W zamku tym przemieszkiwali Jagiełło i Witołd w zimie 1409 r., kiedy urządzili olbrzymie łowy na żubry, łosie i jelenie. Mięso upolowanej wówczas zwierzyny ćwiartowano, solono, składano na galary i spławiano Narwią i Bugiem do Czerwieńska, dla armji, która w następnym roku w walce z Zakonem okryła Polskę na polach Grunwaldu nieśmiertelną chwałą. Takich wielkich polowań bywało więcej za Jagiełły i jego rycerskich następców, a szczególniej za ostatniego, rodu Jagiełły, przestawiciela. Już od Jagiełły stanowiła puszcza Białowieska własność króla i była królewszczyzną. Za Zygmunta Augusta poraz pierwszy przez geometrów zmierzona, otrzymała straż leśną. Straz pilnowała grubej zwierzyny, żywiła ją, liczyła i chroniła przed drapieżnikami i kłusownikami. Puszczę podzielono na 12 ogromnych rewirów, odgraniczonych od siebie szerokiemi linjami, które zbiegały się jak promienie w środku puszczy, we wsi Nowej Białowieży. Tym spo-

sobem każdy rewir miał do strzeżenia obszar lasu w kształcie trójkąta, którego wierzchołek był w Białowieży, a podstawa leżała na obwodzie puszczy. Rewiry miały swoje nazwy. Taki podział kniei był rozumny i praktyczny, choćby dlatego, że gruba zwierzyna, trzymając się środka puszczy, ciągle była na oku i łatwiej można było ją wykarmić i zbiorowym wysiłkiem zwołanej straży obronić.

Dwunastu strażnikom dobrze się wiodło, aczkolwiek nie mieli płacy, a tylko przyznane kawałki roli, obrabiane przez poddanych sposobem pańszczyźnianym. Kazdy strażnik miewał do pomocy kilkunastu strzelców, obowiązanych do strzeżenia i liczenia żubrów, tudzież tępienia rysi, wilków i niedźwiedzi. Skóry ubitych drapieżców należały do strzelców.

Przełożonym wszystkiej straży był od króla tylko zależny, nadleśny, który spełniał w czasie polowania funkcje wielkiego łowczego.

Na perjodycznych polowaniach padały setki żubrów, ale też chronione troskliwie i skutecznie, mnożyły się w czasie długo trwającej ochrony i dochodziły rychło do kwitnącego stanu.

Puszcza Białowieska jest jeszcze i dzisiaj bardzo duża bo przeszło 1.000 km² powierzchni mająca. Jest to płaskowzgórze, poziom na głównym dziale wód, z którego zachodnie płyną do Bugu i Wisły, wschodnie zaś do Prypeci i Dniepru. Główną rzeką puszczy jest Narew. Źródła jej biją na zachodnim krańcu puszczy w uroczysku, zwanem „Orłowe błoto". Z lewego brzegu t. j. z południa, przyjmuje bagnistą i głęboką Narewkę, przepływającą środek puszczy. Nad nią leży dzisiejsza Białowieża z zamkiem myśliwskim b. carów, tudzież końcowa stacja kolejowa, Białowieża. Najwyższym punktem płaskowzgórza jest t zw. „Kozia góra", wzniesiona na 202 m ponad poziom Bałtyku. Puszcza rozsiadła się na napływowych iłach i piaskach, pochodzenia glacjalnego, pod którymi leżą formacje kredowe. Tu i ówdzie występuje na powierzchni biała glinka i margiel. Na podglebiu piaszczystem lub lekko gliniastem leży gruba warstwa próchnicy, powstałej z butwiejących resztek roślinnych tamtejszej odwiecznej i bujnej wegetacji.

Stacją, węzłową przez którą przejeżdża się do Białowieży od strony Białegostoku lub Siedlec, jest Hajnówka. Z okien wagonu na tej stacji widać już puszczę, odbijającą się czarną sylwetą na tle horyzontu. Na przestrzeni 22 km wiedzie tor w kierunku południowo-wschodnim z Hajnówki do Białowieży, równolegle z wyrąbaną w puszczy szosą. Po obu stronach toru widać z okien wagonu zwały ściętego drewna, przeważnie obrobionego. Krótkie kloce sosnowe, okorowane, przeznaczono do wyrobu papieru, inne na materjał budowlany. Uderza przykro takie chaotyczne nagromadzenie drzewa, leżącego bez żadnej ochrony na deszczu i butwiejącego. Dla braku stacji załadowczych przewidzieć nie można, kiedy się ten olbrzymi zapas drzewa wywiezie. I poco ścinać tyle dębów i sosen, któreby mogły dalej rosnąć i grubieć? Bezmierne skarby marnieją ze stratą dla Skarbu. Widać tu niedołężną gospodarkę, nieporadność i niefachowość. Jakże przypomina taka gospodarka lasy, które chora wola właścicieli oddała w ręce żydów! Dodać muszę, że na przestrzeni kilkudziesięciu morgów toczy puszczę kornik. Puszcza cieszyła się pod tym względem za czasów carskich czujną ochroną, dziś, za rządów naszych „suwerenów" idzie na zagładę.

Jadąc pociągiem, przypatrzyć się można doskonael leśnej puszczy. Nie napotyka się tu nigdzie lasu jednolitego – natomiast widzi się sosnę, dąb, jasion, osikę, świerk, grab i brzozę, rosnące swobodnie i zgodnie obok siebie. Uderza niezwykła wysokość drzew. Dążąc do światła i słońca, którego tylko wierszchołkiem zachwycić może, żadne drzewo nie rozrasta się u dołu, lecz strzela w górę prostym, gładkim pniem. Gdy już ma korę w słońcu, wtedy dopiero grubieć zaczyna.

Ze stacji Białowieży prowadzi osobny tor do t. zw „Carskiej rampy, t. j. do dworca dojazdowego, tuż pod zamkiem myśliwskim, którego panoramę widać już zdala. Tak stacja Białowieża, jak wieś, tudzież liczne tartaki i zamek myśliwski zaludniają rozległą halawę, ciągnącą się po obu brzegach błotnistej Narewki, zdążającej stąd w kierunku płn. zach. do Narwi. Z „Carskiej rampy" podąża się najkrótszą drogą do Białowieży przez drewniany most na Narewce, szerokiej w tem miejscu na jakie 30 m, a 2 m głębokiej. Po przejściu mostu idzie się pod górę już brukowaną ulicą do osady Białowieży i skręca na lewo do parku i zamku, na prawo do podłużnie zabudowanej Białowieży. Naprzeciw rozwidlenia wznosi się wspaniała, kopulasta, z czerwonej cegły zbudowana, cerkiew. Na jej widok doznaje przybysz przykrego uczucia, bo przypomina ona carską nahajkę, wstrętne moskiewskie rządy z całym ich systemem brutatnego narzucania się z opieką i bezwzględnego wynaradawiania. Dzięki naszej tolerancji, która graniczy z safandulstwem, siedzi tam i dzisiaj pop prawosławny i po dawnemu sprawuje swój „urząd", mimo, że na miejscu mamy Starostwo, Nadleśnictwo i policję.

Wchodzę na taras zamkowy. Jest duży i wygodny. Tak niedawno zajeżdżały tam carskie, dumne pojazdy z carami i ich świtą... Duża weranda, nakryta szklanym dachem, otwiera wejście do zamku Klatka schodowa.. Na suficie spostrzegam wspaniały fresk myśliwski, wykonany ręką biegłego artysty, bajecznie kolorowy, o niezrównanej perspektywie. Widzę na nim schody, prowadzące w górę; nad nimi spiżowy posąg żubra. Na tle olbrzymiego jego cielska stoi Djana o przepięknej twarzy w towarzystwie amorków skrzydlatych. Przez plecy bogini przewieszony łuk i kołczan. W głębi tłum ludu rosyjskiego, gdzieś z czasów księstwa suzdalskiego — tęskny, zapatrzony. Na pierwszych stopniach dolnych schodów dwu pierwotnych myśliwych — jeden starszy, siwy, drugi młody — siedzą oparci na łukach. Obok nich trofea myśliwskie: jeleń, dzik, lis, zając i ptactwo... Uznojeni patrzą w zamyśleniu przed siebie. A Djana schodzi z górnych schodów — czarowna, uśmiechnięta, patrzy dobrotliwie na swoich pracowników i rzuca na nich... róże. Oto obraz myśliwski — przepiękny w wykonaniu, oryginalny w pomyśle. Oczu nie mogę oderwać od niego...

I znowu przykre uczucie, jak robak, wgryza się w serce. Spostrzegam, że tu i ówdzie pęka farba, skręca się i odpada. Ząb czasu szarpać zaczyna cudną, malowaną alegorję. I niema komu pomyśleć o konserwacji arcydzieła, bo nikt go nie rozumie. Nie chodzi tutaj o pietyzm dla carskich pozostałości, ale o opiekę nad tem, co rzeczywiście piękne, co może być pożyteczne. Wchodzę do pierwszej sali na lewo. Ściany wykładane rzeźbą z drzewa jodłowego, podłoga parkietowa, ułożona w piękne wzory. I znowu freski na ścianach... Ręką artysty ożywione, gonią dwa młodzieńcze centaury za jeleniem-rogalem. Jeden z nich wstrzymuje się w szalonym galopie na jedno mgnienie oka i bajecznym ruchem napina łuk, by w upatrzonym momencie wypuścić na upadającego już ze znużenia jelenia, śmiercionośną strzałę. Drugi centaur goni jeszcze i śledzi zwierzę, które krzaki na chwilę zasłoniły.

Na innej ścianie psy atakują ranionego odyńca. Co za świetnie uchwycony ruch psów i poza dzika! Trzeba być w Białowieży i oglądnąć te piękności!

Dalszych sal nie mogłem zwiedzić, bo spali tam jeszcze dzisiejsi lokatorowie zamku, zwani w życiu codziennem funkcjonarjuszami Starostwa, policji i t. d. w braku pomieszkań, ulokowali się w zamku. Pierwsze piętro zastałem zamknięte, bo „burgrabiego" z kluczami nie było w danej chwili. Wędruię więc na drugie piętro do muzeum. Co tylko puszcza ciekawego z fauny i flory posiadała, oglądnąłem. A więc pnie pięciusetletnich dębów, sosen i jodeł. Widzę skórę, ale tylko skórę letnią — dobrego żubra, kilka par rogów żubra, dalej zające, lisy, sarny, wilki, dziki, jelenie, żbiki i rysie, tudzież wszystkie gatunki drapieżnych ptaków, z których niektóre miejscowy zoolog ochrzcił mianem: „podorzełków". Dużo brodźców z pię-

knymi okazami czarnych bocianów i żórawi, słomek i bekasów — reprezentowało faunę ptasią puszczy. Różnorodne gatunki dzięciołów uzupełniały kolekcję.

Aczkolwiek sztuka wypychania szwankowała, bo np. słomki były tak duże, jak kuropatwy i jakieś przytem wzdęte i zanadto zaokręglone, jednak podnieść należy z uznaniem usiłowania zarządcy muzeum, który z niczego coś stworzył, zwłaszcza, że na pracę nie wiele miał czasu po wyjściu z zamku w r. 1918 Niemców, którzy wywieźli wszystko...

Obok muzeum, mieszkania prywatne różnych pracowników państwowych o typowo moskiewskich fizjognomiach, z którymi nawet po polsku trudno było się porozumieć. Woźny np., który mi otworzył drzwi do numeru, nie umiał po polsku, a twierdził uporczywie, że wszystko, co oglądam, to jeszcze carskie i że będzie carskie..

Zamek dzisiejszy, który powstał na gruzach zamku myśliwskiego królów polskich, zbudował car Aleksander III. Wznosi się on na prawym, wyniosłym brzegu Narewki, która go opasuje wstęgą półkolistą. Zbudowany z czerwonej cegły w stylu barokowym, z wysoką zegarową wieżyczką, robi sympatyczne wrażenie. Bogactwo, potęga, smak artystyczny, złożyły się na piękną całość. Dach pokrywa drobna, szamotowa dachówka, w kształcie rybich łusek. Fronton wieży przyozdabia, jak dawniej, dwugłowy carski orzeł; nikt dotychczas nie pomyślał o usunieciu go z wieży.

Wnętrze wszystkich sal i pokoi zamkowych wyłożone rzeźbioną jodłą na sposób mniej więcej zakopański; wszędzie parkietowe, dębowe podłogi. Urządzenie zabrali okupanci, którzy tam trzy lata grasowali, wiele też rozgrabili swoi, ale i to, co jeszcze pozostało, ma dużą artystyczną i materjalną wartość i godne jest opieki. Obok pałacu stoją piękne stajnie i różne inne budynki gospodarskie, a nadto cztery ogromne dwupiętrowe kamienice, przeznaczone pierwotnie na pomieszczenie dworskiej służby. Gdyby w zamku umieszczono np. akademję lasową, jaki stąd płynąłby pożytek dla kraju!... A tak... marnieje wszystko!...

Puszcza Białowieska była do czasów wojny jedynym może na świecie przytułkiem dla ginących już żubrów. W połowie zeszłego stulecia mieszkały żubry jeszcze na Kaukazie, a gdy je tam wytępiono, dochowały się do naszyah czasów w stanie dzikim tylko w Białowieży, pozostając pod możną opieką ukoronowanych myśliwych.

Królowie polscy posyłali w upominku innym monarchom bądź żywe żubry, bądź też ich mięso solone i wędzone, uważane za przysmak osobliwy. Przypominało bowiem wołowinę, lecz było delikatuiejsze. To też nic dziwnego, że nietylko królowie na żubry namiętnie polowali. Żubr był najponętniejszą zwierzyną i dla każdego kłusownika. Okupanci niemieccy prześladowali go w latach wielkiej wojny ze szczególną zawziętością, a czego oni nie mogli wystrzelać, to wybili do ostatniej sztuki zawodowi i przygodni kłusownicy, zaopatrzeni obficie w broń wojskową. Szczególnie krytycznym był dla żubrów rok 1918/19, kiedyto nastała t. zw. „wolność". Z 600 sztuk żubrów, zaludniających przed wojną ostępy puszczy, został na zimę 1919 r. jeden tylko okaz. I tego sprzątnęła w kwietniu 1919 r. kula kłusownika. Między 15. a 26. kwietnia był p. Herman Knothe tym świadkiem, który po świeżym tropie i farbie, znalazł tylko szczątki ostatniego białowieskiego żubra, w postaci źle obciętego poroża.

Dzisiaj w Białowieży żubrów niema!

Zdarzyć się jednak mogło, że kilkanaście sztuk tej zwierzyny, straszonych hałasem ludzi, uderzeniem siekier i zgrzytem pił, wymknęło się lasami za Dniepr, do puszcz Homelskich i tam zostało. Kilkakrotne wzmianki dziennikarskie potwierdziły to przypuszczenie i podniosły tę okoliczność, że nawet bolszewicy otoczyli swoje żubry specjalną opieką. W rewirach, w których żubry mieszkają, nie wolno nikomu pod karą śmierci jawić się z bronią palną. A u nas... jak kto chce!...

W połowie XVII wieku wyginęły nasze tury, ta zwierzyna, od której pochodzi bezsprzecznie bydło domowe. Po turach zostały dzisiaj tylko nazwy licznych osad, rzek, uroczysk i t. d., zwłaszcza na wołyniu. Miasto Kowel leży n. p nad Turją, nad którą rozsiadły się Turopin, Turzysk, Turyczany, Turowicze i inne wsie lub miasteczka, którym początek dały niezawodnie tury. Podanie ludowe opowiada, że ostatnie stado turów, prześladowane zawzięcie przez strzelców, skończyło samobójstwem, pogrążywszy się w toniach Teterewu.

Także i po bobrach zostały tylko liczne nazwy tych miejscowości lub rzek, w pobliżu których były ich siedliska.

Teraz przyszła kolej nięuchronnej zagłady na żubry i łosie, a na pamiątkę po żubrach zostanie chyba tylko trawa, „żubrówką" zwana. Jeśli rząd nie zarządzi ochrony i nie roztoczy specjalnej opieki nad żubrami, przestaną istnieć nawet w Pszczynie na Śląsku, gdzie hoduje się ich kilka sztuk w rewirach książęcych. Jak z Białowieży przesiedlono żybry do Pszczyny przed kilkunastu laty, tak dzisiaj możnaby je z Pszczyny sprowadzić do Białowieży.

W polowaniu, odbytem w Puszczy w dniu 27. września 1752 brał udział król August III. wraz z królową Marją Józefą, znakomitą myśliwą, tudzież z oboma królewiczami. Oprócz panów niemieckich uczestniczyli w polowaniu Klemens Branicki z Białegostoku, Poniatowski, Węgierski, Starzeński, Sapieha i Jan Wielopolski, cześnik koronny i sławny myśliwy. W opisie polowania, wyrytym na istniejącym do dzisiaj w Białowieży pomniku, wymienione są nawet nazwiska wszystkich strzelców. Na polowaniu padło 42 żubrów, 13 łosi i trochę innej zwierzyny. Sama królowa polska położyła trupem 20 żubrów! Król August III., który po ojcu odziedziczył zamiłowanie do myślistwa i przepychu, strzelał również świetnie i zabił 17 żubrów. Największy z ubitych żubrów ważył około 800 kg.

Oto krótki opis tych łowów, według naocznego świadka:

„Na kilka tygodni przed polowaniem przybyło do Białowieży wielu cudzoziemców ze strzelcami, liczną psiarnią i całym sprzętem łowieckim. Obrano ostęp straży Augustowskiej. Zebrano około 1000 nagonki i zapomocą obławy z psami napędzano zwierzynę do wymienionego ostępu już kilka dni naprzód, poczem zaciągnięto sieci i otoczono płotem cały ostęp.

Król z królową i z całym dworem przybyli w przeddzień polowania. W ogrodzeniu, nazwanem „Królewskim ogrodem", rozbito namioty na wywyższeniu dla najjaśniejszych gości, aby mogli strzelać do zwierzyny, napędzanej drzez ściśniętą nagonkę ku namiotom.

Dwaj bogato ubrani strzelcy nabijali broń i podawali ją królestwu. Królowa zajęta była podczas polowania czytaniem książki i tylko jakby od niechcenia strzelała od czasu do czasu, nie chybiając nigdy. W ten sposób ubiła 20 żubrów. Król strzelał równie celnie. Śmierć każdego żubra ogłaszano fanfarami. Ku wieczorowi, gdy się polowanie skończyło, strzelcy ułożyli w porządku ubitą zwierzynę. Rozkład był wspaniały. Królestwo kazali ważyć najokazalsze żubry i łosie i rozdawszy większą część zwierzyny między zebranych włościan i służbę, wrócili do zamku".

Takie to były dawniej rozkłady królewskich polowań. Wynagradzały one sowicie trudy i koszty, związane z ochroną i żywieniem szlachetnej zwierzyny. Dzisiaj, jak na kpiny, pokazują z Białowieży tylko skórę żubra, podczas gdy we Lwowie w muzeum Dzieduszyckich oglądać można całego kapitalnego żubra.

Żubry mnożyły się powoli. Żubrzyca przed ocieleniem, co się zdarzało co dwa lata, odłączała się od stadi szukała spokojnego zakątka w lesie. Nowonarodzona cielę było niedołężne. Gdy wstało na nogi, uczyła je matke chodzić, popychając nosem. Karmiła rok cały i dłużej. Młody żubr rósł do lat 7-miu a żył lat 40, zwłaszcza samiec. Chorobom bydlęcym żubr nie ulegał, a ginął ze starości, lub zniedołężniały, stawał się ofiarą wilków i niedźwiedzi. Krowy z cielętami chodziły w liczniejszych sta-

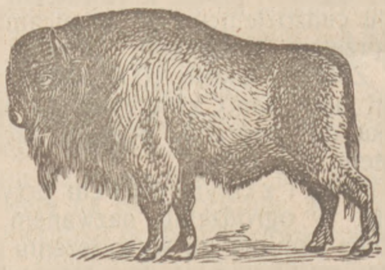
dach, stare zaś samce — pojedynki trzymały się osobno. W stadzie były bardzo ostrożne, a dysponując doskonałym wiatrem, wietrzyły z daleka człowieka i uciekały. Nie czynił tak jednak stary byk, przywiązany zwłaszcza do pewnej miejscowości. Na widok człowieka przystawał i zdawał się wyzywać go do otwartej walki. Ale homo sapiens posiadał skrytobójczą broń, godzącą zdaleka śmiertelnie i biedny żubr ten błędny rycerz puszczy, ginął w nierównej walce.

Żubr w jesieni bywał tłusty, a chudł dopiero pod wiosnę. Tuczył się w lecie bujną roślinnością puszczy, zjadając w zimie wonne siano w stogach skarbowych. Z pomiędzy wszystkich traw i ziół najulubieńszą potrawą żubrów była tomka wonna, czyli „żubrówka“, dochodząca do znacznych rozmiarów.

Były i dawniej dla żubrów czasy bardzo krytyczne, szczególniej po trzecim rozbiorze, kiedy to granica zaboru pruskiego biegła zachodnim brzegiem puszczy. Wtedy to we wioskach, położonych blisko kniei, potworzyły się całe bandy kłusowników, tej po wszystkie czasy egipskiej plagi dla łowiectwa, które wpadały do puszczy po żubrze mięso. W ciągu lat kilku spadła wtedy liczba żubrów z 700 sztuk na 300.

Na tem kończę opis. Może on natchnie przyrodników i badaczy do napisana obszernej monografji żubra, której to ginące królewskie zwierzę jest ze wszechmiar godne. Potomni będą mieli co studjować dla swej nauki, rozrywki i przestrogi.

Mimo, że w Białowieży żubrów już niema, jednak zawsze warto obejrzeć królewską Puszczę, nacieszyć się widokiem jej pomników, ożywić umysł wspomnieniami, które wrażliwe ucho wyłowi z tajemniczego poszumu dębów i jodeł odwiecznych, zanim i one nie padną pod ciosami pił i siekier, kierowanych przedsiębiorczą ręką naszych neutralnych sąsiadów.



JAN MARCINKÓW.

Z Mizunia.

(Dokończenie)

Wyrąb lasów prywatnych, od czasu rozpoczęcia wojny, prawie zupełnie ustał — to znaczy, że sukcesywnych powierzchni rębnych, jest mało. A trzeba wiedzieć, że to jest wielkiej wagi, gdyż zręby przyczyniają się do rozwoju zwierzostanu.

Gleba karpacka, zasłonięta od wieków drzewostanami, po wyrąbaniu pokrywa się bujną florą, przeróżnemi trawami, zielskiem, a w szczególności malinami i ożynami, które, tak latem, jak zimą, stanowią główny pokarm dla jeleni. Zręby stanowią więc dla jeleni główny warunek pożywienia, ale tylko przez 3—5 lat po wyrębie, później ciągną jelenie znów dalej, gdzie są świeże zręby, bo na dawnych trawy i chwasty starzeją się i giną pod młodnikami. Znając Mizuń od lat 47, wiem, że w latach 1874 do 1882, nim rozpoczęła się główna eksploatacja lasów, jeleń należał tu do rzadkości. W miarę postępu zrębów, napływały i mnożyły się jelenie, tak, że w latach 1895 do 1907 osiągnęły punkt kulminacyjny. Przy ryczących jeleniach było można spotkać 18—25 łań. Straszna zima z r. 1906/7 zdziesiątkowała cały zwierzostan, a teraz znowu czasy wojenne i wilki dokonały dzieła spustoszenia prawie doszczętnie. Z praktyki długoletniej, bo 30 letniej, wiem też, że w kotlinach niektórych rewirów mizuńskich (Sobolic) w roku 1896, ryczało 60 jeleni, gdyż była ogromna ilość zrębów, w miarę jednak starzenia się zrębów, cyfra ta zmalała do kilku zaledwie osobników, a jelenie poszły tam, gdzie są świeże zręby.

Biorąc tedy wszystkie powyż naprowadzone okoliczności w rachubę, nie można się dziwić, że zeszłoroczne rykowiska były liche, z wyjątkiem sporadycznych wypadków. Dalszym powodem była też ta okoliczność, że w czasie kulminacyjnego punktu rykowisk nastała pełnia i nader jasne, jak w dzień, noce. O takiej porze jelenie ryczą i zaspakajają swoje potrzeby miłosne przeważnie nocami, aby przez dzień spokojnie po emocji odpoczywać. W końcu i posucha straszna, jaka w zeszłym roku przez lato i jesień panowała, zmniejszyła cały animusz godów weselnych tego wspaniałego zwierza, a zatem animusz najdzielniejszych myśliwych, którzy się cieszyli na obfity zbiór złomków jedliny, na które czekali prawie lata całe.

Przez 25 lat dzierżawił polowanie w rewirach mizuńskich arcyksiążę Leopold Salvator i był corocznym gościem z całą świtą generalicji i ze swym szwagrem Augustem Koburgiem W czasie tym padło tu przeszło 250 jeleni. Teraz rewiry mizuńskie rozdzielono na dwie części t. j. Mizuń i Sołotwina mizuńska. Sołotwinę mizuńską wraz z lasami nadleśnictwa Polanica, zadzierżawili hr. Adam i Władysław Zamoyscy. Mizuń zaś, część najlepszą, jeden z najdzielniejszych, najwybitniejszych, najwytrawniejszych, i może najstarszych myśliwych, hr. Zdzisław Tarnowski z Dzikowa. Hr. Tarnowski jest niedoścignionym mistrzem i znawcą polowań karpackich, w szczególności na jelenie.

Dzierżawił on dawniej ogromne kompleksy w Karpatach, jak rewiry Jasien, Perehińsko, Suchodół, Łopianka, morze lasów karpackich. Poluje prawie 30 lat w Karpatach, długie lata polował z namiestnikiem hr. Potockim i dziś ma okazały teren łowny na jelenie, prawie nieprzerwane pasma najlepszej kniei karpackiej, jak część Łopianki, Wełdzirza i Mizunia. Ze zdumiewającą bystrą pamięcią i najdokładniejszem znastwem każdego potoczka i połoniny, zna pasmo Karpat od granic nadwórniańskich po Mizuń, przypominając sobie najdrobniejsze szczegóły zdobycia wieńców, lub zwalonych niedźwiedzi.

Dostojny gość zawitał do Mizunia w towarzystwie swego syna hr. Jana i zięcia hr. Władysława Tyszkiewicza dnia 22. września 1921 i w tymże dniu udał się na szczyt Chomu, gdzie dawniej najcudniejsze były rykowiska. Jelenie zaczęły porykiwać już około 12. września, ale to tylko sporadycznie, zaledwie od czasu do czasu gdzieś nocą, burknął który. Około 18. września ryczały już lepiej, jednakowoż tylko nocną porą.

Hr. Tarnowski senior zdeprymowany złem rykowiskiem w dniu 22. i 23. na Chomie, przeszedł dnia 24. na stronę wełdzizką, a niemając i tam widoków dobrego

powodzenia, przeszedł na dalsze tereny nadleśnictwa łopianieckiego, pod Gorgany. Gigantyczne szczyty Gorganów, które pokryły się już śniegiem, a mróz dochodził kilka stopni, nie bardzo były powabne, a rykowiska i tam nie było takiego, jak można było sobie życzyć; mimo to położył hrabia jednego pięknego 12-ka, o silnych, rozłożystych, nader pięknie operlonych rogach.

Hr. Jan Tarnowski z hr. Władysławem pozostali do 8. października i mimo wszelkich wysiłków, nie mogli przyjść do strzału w rewirach mizuńskich, wskutek fatalnie lichego rykowiska.

Natomiast hr. Tyszkiewicz na terenach wełdzierskich położył pięknego, łownego dziesiątaka o ślicznym, rozłożystym wieńcu i nader foremnych odnogach. Odjeżdżając 9. października, pozostawił nader miłe wspomnienia ze swej uprzejmości i podziwu godnej wytrwałości i hartu ducha myśliwskiego, jakiego dał dowód w ciężkich podchodach, noclegach w dymnych kolebach, w czasie 17 dni niepowodzenia.

Dr. A. BERGER.

Z obcych światów.

W krainie białego nosorożca.

(Dokończenie)

Dla moich ludzi powodzenie moje było nielada uciechą i świętem, a dwa potężne zwierzęta przybrały wkrótce kształty olbrzymich, poćwiartowanych mas mięsa.

Następnego dnia wyjechałem z obozu w step, bez specjalnych myśliwskich zamiarów, chcąc raz jeszcze odwiedzić szczątki ubitych słoni, aby przy nich ubić kilka marabutów, które tu w wielkiej znajdują się liczbie, a których delikatne pióra tak wysoko są cenione przez światowe damy. Z początku jechałem razem z towarzyszem moim Rothem, lecz wkrótce rozdzieliliśmy się w dwie przeciwne strony.

Droga moja prowadziła wzdłuż wielkiego gąszczu trzcin, gdy nagle z nich wyskakuje przedemną kapitalny kozioł antylopy pstrej i skierowuje się do pobliskiego lasu. Świsnąwszy na niego, zeskakuję z muła, chwytam za sztuciec podwójny i w chwili, gdy on świstem moim zdziwiony, się zatrzymuje, posyłam mu kulę. Trafiony w brzuch, zawraca kozioł napowrót do trzcin, które w tem miejscu były niskie i przejrzyste; prowadzę go na muszce, by mu wpakować dobijającą kulę, gdy wtem słyszę za mną wypowiedziane słowo „Simba“ i w tejsamej chwili występuje wolno, spokojnie, na kroków 30 odemnie, kapitalny lew, o bujnej grzywie, uważnie nam się przypatrując.

Nie da się opisać ten wspaniały widok dumnego zwierza i uczucie, jakie ogarnia myśliwego wobec spotkania się oko w oko tu, na wolnym stepie, z królem zwierząt! Do namysłu nie było chwili czasu. W najbliższej sekundzie mógł zwierz rzucić się na nas, lub zniknąć w gąszczu, a ja miałem tylko strzał jeden do rozporządzenia. Więc błyszczy już złowroga muszka na szyi zwierzęcia, krótki trzask się rozlega, a potężny kot załamuje się i pada na ziemię... kilka chrapnięć, ruchów konwulsyjnych... ...leży już nieruchomy, a o 6 kroków od niego spoczywa nieżywa już antylopa. Chyba jedyna w swym rodzaju dubleta.

Moje to wielkie powodzenie zawdzięczam zapewne tej okoliczności, że spłoszona przez lwa antylopa wyskoczyła z gąszczu, aby w poblizkim lesie szukać ocalenia. Lew, w pościgu za nią, usłyszawszy strzał, zatrzymał się i nadsłuchiwał, co go zgubiło.

W powrocie do obozu odwiedziliśmy jeszcze ubite słonie, ale tylko zakrwawiona ziemia i resztki kości wskazywały miejsca, gdzie olbrzymy poległy. Całe wsie okoliczne zaopatrywały się w mięso. Wielkie, pięknie plecione kosze, stały jeszcze tam pełne, naładowane mięsem.

Tropy nosorożców spotykamy codziennie, często nawet zupełnie świeże, a zwierzęta same pozostają dla nas niewidzialne. To tylko było pewne, że w nocy przychodziły do wodopojów, ale na dzień wracały w daleki, bezwodny, dziki step, gdzie czuły się bezpieczne przed pościgiem ludzkim.

By przecież raz dopiąć upragnionego celu, postanowiłem pewnego dnia pójść za takim tropem. Prowadził on mnie daleko, gdzie drzewa coraz rzadziej rosły, gdzie nie spotykaliśmy antylop, prócz oribi mieszkających w niskiej trawie.

Było koło południa, straciłem już nadzieję spotkania nosorożca i zacząłem ze względów kuchennych podchodzić tę smaczną antylopę.

Wtem trąca mnie mój murzym i wyciąga rękę... ...i widzę, przedemną stoi na otwartem miejscu w stepie, nosorożec biały, którego ubicie było mojem najgorętszem marzeniem. Nie wiem, co to jest gorączka myśliwska, ale tym razem, gdym sztuciec do strzału podnosił, serce mi młotem w piersiach biło, gdyż zdawałem sobie sprawę, że stoi przedemną jeden z ostatnich osobników wymierającego gatunku, że mam jedyną sposobność w życiu zdobycia bezcennej, muzealnej zdobyczy. A przecież trzeba było to zwierzę ubić. Byłem tu w roli przyrodnika-kollekcjonisty, który przynajmniej dla nauki jeden taki egzemplarz uratować powinien. Mierząc w łopatkę, posłałem mu kulę, którą zwierzę zaznaczyło, padłszy na kolana, a następnie wstawszy, pomknęło z szybkością wprost nie do uwierzenia. Jest jeszcze zwinniejszy, niż jego wązkopyski pobratymiec. Szczęśliwie, ucieczka jego odbywała się odemnie na połeć, tak, że mu wpakować mogłem jeszcze kilka kul. Nosorożec jednak uciekał dalej. Ścigałem go, co się dało, aż w oczach mi ciemnieć i w uszach szumić zaczęło, ale wreszcie dopadłem opartego o drzewo, ze smutnie zwieszoną głową. Tam otrzymał strzał z łaski!

Przystąpiłem do cennej zdobyczy. To był więc ten biały nosorożec! Ciekawe zwierzę, które moi murzyni zwali hippopotamem z rogami — i z pewną słusznością. Pysk u niego jest olbrzymi i bardzo szeroki. Warga górna mięsista i pomarszczona, daje zwierzęciu wyraz hardy, gdy róg na nosie umieszczony daje wyraz potęgi i siły. Maść jego jest ciemno-popielata. Jego sposób życia i usposobienie, według naszych spostrzeżeń i wiadomości, jakie zasięgnąć zdołaliśmy, wykazują w porównaniu z jego pobratymcem wielkie różnice. Żyje tylko trawą i liśćmi, nie jada kory ani gałązek i może to lekkie pożywienie oddziaływa stosownie na jego charakter. Jest zwierzęciem

niewinnem i absolutnie nie złośliwem. Gdy tylko może, wycofuje się w spokoju i ta jego płochliwość i szybkość w ruchach, będzie go mogła jeszcze utrzymać przez jakiś czas w rzędzie tworów żyjących.

Aby przedstawić sobie wielkość tego zwierzęcia, podam jego wymiary. Wysokość 1 m, długość 4 m, obwód brzucha 3·60 m, grubość skóry 2 do 3 palców. Wagi zwierzęcia skonstatować, rzecz naturalna, nie mogliśmy.

Okolica, w której polujemy, roi się wprost od słoni; moi towarzysze spotykają je też codziennie i ubili kilka. W kilka dni po wyżej opisanych zdarzeniach, w miejscu właśnie, gdzie ubiłem dwa słonie, usłyszałem głos, który wzbudził we mnie podejrzenie, że pochodził z gardzieli tego zwierzęcia. Wylazłszy na kopiec termitów, ujrzałem małe stadko tych olbrzymów, bardzo skupione i widocznie zaniepokojone, musiały nas zwietrzyć i nie wiedziały, co mają ze sobą robić. Bliżej ich podchodzić nie miało celu, gdyż gęsta trzcina zakrywała pole, zresztą z mego stanowiska, na metę 100 kroków, doskonale mogłem strzeiać, gdybym tylko mógł wiedzieć, czy jeden z nich, wszystkie inne przerastający, jest samcem. Zwierzęta kręciły się tam i nazad, ten jednak pozostawał wciąż zakryty. Łeb jego widziałem dobrze, ale kłów dojrzeć nie mogłem.

Nagle, jak na komendę, wszystkie słonie wznoszą trąby do góry, jakgdyby 25 wężów chciało się rzucić w jedną stronę — wspaniały obraz w swoim rodzaju — ale to trwa sekundę i słonie nikną w gąszczach. Tylko tuman kurzu i przyjaciółki słoni czaple, znaczą kierunek, w którym umykają spłoszone olbrzymy.



†

JÓZEF hr. POTOCKI

(Wspomnienie pośmiertne)

Zmarły w sierpniu b. r. na zamku Montrésor, Józef hr. Potocki zajmował w łowiectwie polskiem przodujące stanowisko.



Znakomity hodowca zwierzyny, wielki znawca i miłośnik fauny krajowej i egzotycznej, podróżnik i autor, a przedewszystkiem myśliwy z krwi i kości, pozostawił po sobie w społeczeństwie naszem łowieckiem lukę nie łatwą do zapełnienia.

Do czasu wielkiego dziejowego przewrotu, pan olbrzymiej fortuny, zaprowadził w swoich dobrach na Wołyniu wspaniałą wprost gospodarkę łowiecką. Wielkie łowy na dziki w Jego Szepetówce rywalizowały o rekord europejski z łowami w Dawidgródku ks. Radziwiłłów i często palmę pierwszeństwa zdobywały, będąc atrakcją i gwoździem sezonu dla szczęśliwych, biorących w nim udział myśliwych. W r. 1911. w 4-rech dniach od 17. do 20. stycznia w 14 miotach, w 14 strzelb, ubito w Szepetówce: 22 odyńców, 12 wycinków, 26 loch, 9 przelatków i 71 warchlaków, czyli razem 140 dzików, oprócz tego ubito 48 rogaczy i 10 danieli. Najwspanialszem jednak dziełem Zmarłego, jakie dla kultury łowieckiej i wzbogacenia rodzimej przyrody uczynił, było założenie „Pilawina“ ochronnego parku w roku 1902. Rewir piszczowski obejmujący około 6000 morgów został w roku wyż wspomnianym ogrodzony i przemieniony w olbrzymi zwierzyniec. Pierwsze do niego zawitały dwa z Białowieży sprowadzone żubry, następnie sławny Hagenbeck zaopatrywał go w marale, wapiti, jelenie Dybowskiego, łosie, bizony i pigargusy, wreszcie powstała kolonia bobrów. Aklimatyzacja wszystkich tych zwierząt na gruncie wołyńskim nadzwyczajnie się udawała, tak, że już po dziesięciu latach istnienia zasłynął Pilawin, jako unikat w swoim rodzaju na europejskim kontynencie i zwiedzany był często nie tylko przez naszych, ale i przez zagranicznych myśliwych i przyrodników. A było co tam podziwiać!

I ten bór wspaniały wołyński, jeszcze książąt na Zasławiu pamiętający czasów i te potężne przechadzające się po nim rogale i stada rodzimych dzików. A hr. Potocki dumny był ze

swego dzieła i szczęśliwy, gdy kto z Polaków do zwiedzania parku się zgłaszał. W r. 1913 zapraszając mnie do zwiedzenia Pilawina, pisał: „Dla polskich miłośników przyrody wrota Pilawina będą zawsze na ścieżaj otwarte. Chciałbym aby się stał on duchową własnością polskiego przyrodoznawstwa i łowiectwa“.

Krótkie było niestety istnienie Pilawina! Przetrwał on do roku 1917. Z wybuchem rewolucji, dzicz chłopska i powracające z frontu zrewoltowane żołdactwo rosyjskie zniszczyło doszczętnie ten wspaniały dorobek kulturalny.

Za mało było borów Wołynia dla wielkiej pasji myśliwskiej hr. Potockiego. Szerszych potrzebował horyzontów dla jej zaspokojenia. Pierwszą wycieczkę w dalekie światy skierowuje w r. 1890 do Indji, gdzie poluje u mahardzów na tygrysy i lamparty, w cztery lata później poluje na Ceylonie w towarzystwie swej żony na słonie. W r. 1896 wybiera się do Somalilandu z hr. Tom. Zamoyskim i hr. Grudzińskim. Tam szikari Alikar podczas szarży lwa ocala mu życie. W r. 1901 w towarzystwie p. Jana Sztolcmana poluje w Sudanie, dokąd w roku zeszłym z dwoma swoimi synami Romanem i Józefem znowu podąża, lecz ze strony przeciwnej od północy, biegiem niebieskiego Nilu, nad jego dopływ, rzekę Setit.

Prócz przedostatniej swej wyprawy (do Sudanu), której opis wyszedł z pod pióra p. Sztolcmana p. t. „Nad Nilem niebieskim“ — wszystkie inne opisał sam hr. Potocki, a więc kolejno wydał: Indje (1891), Ceylon (1895), Notatki myśliwskie z Afryki (1896) i nad Setitem (1922). Pisane piórem barwnem i potoczystem i wytwornie z licznemi ilustracjami wydane, stanowią wspaniałą ozdobę polskiej literatury łowieckiej.

Śp. Józef hr. Potocki był typem polskiego wielkiego pana w dodatniem znaczeniu tego wyrazu. Dobry polak, imię polskie, nosił zawsze wysoko i rozumiał, że wielki majątek nakłada też wielkie obowiązki społeczne. Dla tych celów zawsze szczodry, łatwy w obejściu, dla wszystkich uprzejmy i uczynny, pozostawia w społeczeństwie naszem po sobie pamięć dobrego polskiego obywatela.

Członek naszego Towarzystwa, od wczesnej swej młodości i wielki jego przyjaciel, stały korespondent Łowca, założyciel funduszu zapomogowego dla straży łowieckiej, zdeponowanego w naszem Towarzystwie, pozostawia po sobie wśród członków naszych szczery żal i wdzięczne po sobie wspomnienie. *A. M.*



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920.

Od najmłodszych lat chłopięcych odczuwałem w sobie żyłkę myśliwską i z całym zapałem młodocianego uniesienia rwałem się do flinty. Jako 14 letni wyrostek wpisałem się do służby św. Huberta, nawykając do trudów i mozołów myśliwskiego życia, a odbywając praktykę pod nadzorem i kierunkiem naszego kuchty Kordelasa, spędzałem dnie całe na rozległych łęgach pietrzykowskich na Wartą, przymierając często z pragnienia, głodu i chłodu. Gdy moi koledzy szukali zabaw i rozrywek w salonach, bawili się tańcami, lub pustem mizdrzeniem się do panien, ja z flintą w ręku wydeptywałem w wysokich trawach chruściela, przeszukiwałem nadrzeczne szuwary, brodziłem za ptactwem w grząskich jeziorach i bagnach. Rodzic mój, aczkolwiek sam nie był myśliwym, hołdował jednak temu sportowi, uważając go za szlachetną, rycerską rozrywkę, co jeszcze silniej rozwijało we mnie mą namiętność myśliską.

Dziś, przy schyłku mego długiego życia, śmiało rzec też mogę, że większa część jego zbiegła mi na tem miłem, rycerskiem zajęciu.

Rok 1880. W tym pamiętnym dla mnie roku ukończyłem mą fachową edukację, pożegnałem ukochanych Rodziców i dom rodzinny i ruszyłem w świat daleki za chlebem. Osiadłem w Garwolińskiem, w wiosce Uninie, zaledwie z kilkunastu na te czasy chałup złożonej, ukrytej wśród ciemnych borów sosnowych, kęp olchowych, otoczonej rzeczkami, moczarami i piaszczystemi wydmami. Chyba zbłąkany przechodzień zjawił się tu niekiedy, bo miejscowy chłopek jeszcze rzadziej wychylał się po za obręb swej siedziby z obawy przed zwierzem, którego tu było wiele bardzo na te czasy. Lis, kuna, borsuk, sarna, cietrzew i jarząbek były tu pospolitą zwierzyną, wilk ustawicznie włóczył się po lasach i polach, zaglądał do osad ludzkich, wyrządzał szkody w kmiecim dobytku, zastępował podróżnym na drogach, przestraszał swą śmiałością każdego. Znałem tego rabusia z obrazków i opowiadań staruszki naszej niańki w dzieciństwie, a choć odczuwałem pewien przed nim respekt, niemniej zapałałem chęcią poznania go bliżej. Nie długo czekałem na tę sposobność. Wiosna rozwijała się szybko, śniegi topniały gwałtownie, zaszumiały strumyki leśne, rzeczki wystąpiły z swych łożysk i rozlały szeroko swe wody, na powierzchni ich zaroiło się od przelotnego ptactwa. Gwarne życie kaczek, poświst kulona, płacz czajek i bek bekasa rozbrzmiewało z każdego niemal zakątka błotnistej okolicy, a w przestworzach nie milkły wesołe klangory żórawi i tęskne głosy ciągnących na północ długich sznurów gęsich. Całe tygodnie z fuzją w ręku włócząc się po łęgach i moczarach, rozpędzałem strzałami, nie zawsze udatnymi, tę wędrowną ptasią gawiedź, aż wreszcie opustoszała okolica, zacichły moczary i jeziora, pozostała zaledwie szczupła ilość krzyżówek na czas gnieżdzenia się w mniej dostępnych szuwarach i bagnach. Nadeszła pora polnych, wiosennych robót, a z nią częste me przebywanie na polach, co dało mi sposobność spotkania się z wilkiem oko w oko, gdy podkradał się do stada pasących się owiec. W krótkim też czasie śmiały ten zwierz zadusił na pastwisku pod folwarkiem źrebaka. Kazałem padło umieścić pod zagonem, obok pustej szopy, w której wczesnego wieczora zasiadłem na czatach Noc była cicha, spokojna, bezksiężycowa. Około północy z bliskich moczarów podniosły się gęste opary i białą mgłą osłoniły całą okolicę. Już dobrze było po północy, gdy stojący na zagonie tabun koni, nagle zbił się w kąt ogrodzenia. klacze otoczywszy źrebięta trwożliwie rżeć poczęły i w tejże chwili z ciemnych mgieł wyłoniła się czarna sylwetka dużego zwierza, zmierzającego do padła. Gdy podszedł do przynęty i stanął bokiem ku mnie, palnąłem do niego. Zwierz spiął się na łapy, zawył przeciągle i zwalił się na ziemię. W kilku susach byłem przy nim z okrzykiem radosnym. Niestety, krótki był mój tryumf i chwilowa radość. Przedemną leżał martwy piękny Dog pani Olesi, przed tygodniem z Ostendy przywieziony. Długo przymawiano mi mą omyłkę fatalną, co wznieciło we mnie jeszcze większą zawziętość na tego zwierza. Teraz myśl ma pracowała ustawicznie nad środkiem rehabilitacji mocno nadwyrężonej mej myśliwskiej reputacji. W końcu maja wilki rozszarpały chłopu klacz na pastwisku. Kazałem częścią niedojedzonego uda obciągnąć bliższą knieję leśną, a resztę padliny wywieść pod las, na odkrytą polanę.

O zmroku w towarzystwie p. K. zasiadłem na wysoko między sosnami umieszczonej desce, mając o 50 kroków przed sobą przynętę. Cicha, ciepła, księżycową noc majowa, świeży zapach rozwijających się drzew i ostra woń żywicy młodej, prędko zaczęły oddziaływać na nas odurzająco. Pierwszy zasnął leciwy p. K. Zwiesił głowę na piersi, począł nią kiwać na prawo i lewo — chrapał — rzęził i sapał — niekiedy jak w kipiącym kotle, bulkotało mu w gardle. Z dalekich gór niezadługo przeciągłe ode-

zwało się wycie wilka, dreszcz przebiegł mi po ciele, — trąciłem mego sąsiada, lecz spał on twardo. Teraz cisza jeszcze uroczystsza, zdawała się zalegać bory i całą okolicę. Zaczął i mnie sen morzyć, powieki ciążyć mi poczęły — zdrzemnąłem. Zbudził mnie nagły trzask łamanych kości końskich przez stojącego przy padle zwierza. Dałem ognia. Tu już nie umiem powiedzieć, co się z mym wilkiem stało, gdyż przebudzony mym strzałem p. K. traci równowagę, a spadając, pociąga mnie za sobą i walimy się z wcale znacznej wysokości w kolące jałowce, skąd potłuczeni i straszliwie podrapani, nota bene z pustemi torbami, powracamy do domu. Drugi blamaż!

W czasie sianożęcia dano mi znać, że w łozinie na pobliskich, piaszczystych wydmach porzecza Wilgi zatrzymało się stadko wilków. W mgnieniu oka byłem na koniu i koląc mu tłuste boki ostrogami, pędziłem przez pola i łąki ku wskazanym wydmom. Już z daleka na tle żółtych piasków, w rzadkich krzewach dojrzałem niespokojnie kręcących się 9 sztuk rabusiów. Nie zdążyłem podjechać na daleki nawet strzał, gdy zaczęły chyłkiem pojedyńczo wymykać ku niedalekim lasom. Ostatniemu zdążam przeciąć drogę i czas jakiś idziemy obok siebie. Chude, stare, oszarpane z sierci wilczysko, idzie wyciągniętym galopem, obok śledząc krwawem okiem me ruchy. Zbliżamy się do zarośli. Ostatkiem sił mego pegaza udaje mi się wyprzedzić cokolwiek zwierza, więc zeskakuję z siodła, odwodzę kurek i na 30 kroków strzelam do niego, w chwili gdy mnie mija. Przysiadł po strzale na chwilkę, zębami uchwycił swój pośladek, lecz zebrał siły i pomknął w jałowce. Sięgam do kieszeni po nabój, lecz nie znajduję w niej żadnego, w czasie biegu wytrząsnąłem je wszystkie. Pozostaję więc wobec ranionego zwierza z pustą rurą flinty sam jeden, gdyż mój koń, zadarłszy wesoło ogonem, ruszył ku domowi. Wobec zapadającego zmroku nie miałem znów tak wielkiej ochoty zapędzać się za postrzałkiem, więc ze zwieszonym smętnie nosem ruszyłem ku domowi, o 3 blisko wiorst oddalonemu.

Nazajutrz o świcie byłem już w lesie, strąbiłem leśnika i gdy nadszedł, odszukaliśmy ślady i poszli za nimi. Na częstych legowiskach znajdowaliśmy ślady skrzepłej krwi na piasku, szedł daleko, kluczył po zaroślach, aż wreszcie po godzinie znaleźliśmy go zastygłego pod rozłożystym krzewem. Był bezzębny, strasznie chudy, z wielką raną od mej kuli w tylnej części. Duma i radość nie miały granic! Pierwszy wilk, jeszcze i praojciec tego rodu rabusiów.

Objeżdżając raz łany dojrzewających zbóż, zauważyłem w wielu miejscach mocno pomięte kłosy i gniazda legowisk jakichś. Nie ujechałem i półstajania, gdy mój pegaz zastrzygł uszami i chrapać trwożliwie począł — kilka razy stanął dęba i iść nie chciał naprzód, uderzał w bok. Wziąłem sztuciec do ręki i gdy w gęstem zbożu kilka szarych zamajaczyło grzbietów przedemną, palnąłem do najbliższego. Koń poniósł mnie w stronę i zanim go zahamowałem, zwierz był już w lesie. Uwiązałem więc konia u drzewa i poszedłem odszukać ślady. Na skraju pola znalazłem mego wilczka czołgającego się z przestrzelonym grzbietem, który pomimo rany nie dawał się ująć i byłem zmuszony go dostrzelić. Powracając do konia zastałem tylko rozerwaną trenzlę u drzewa, koń zapewne spłoszony przez matkę postrzałka, ruszył do domu.

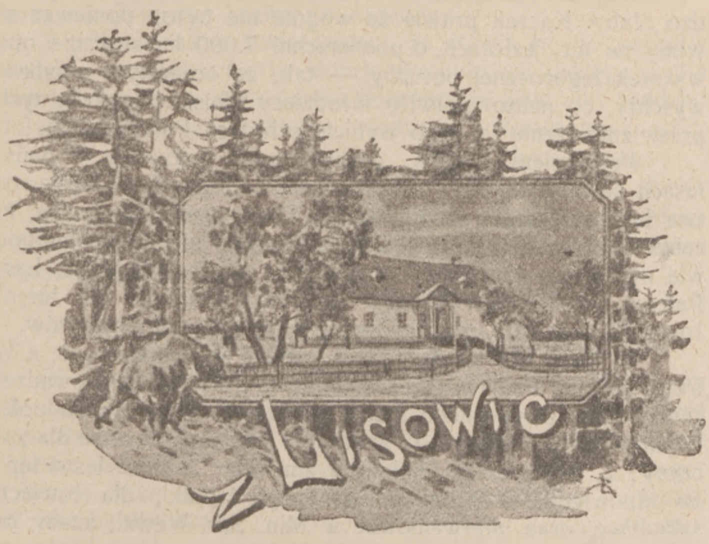
W październiku zjechało grono gości do Unina na jakiś festyn familijny, jakie tu często urządzano, bo młoda pani O. lubiła się bawić, a podtatusiały p. K. choć zżymał się niekiedy, spełniał jednak wszelkie zachcenia pięknej swej żoneczki. Tańczono, urządzano pikniki, przejażdżki, wycieczki, w końcu postanowiono zapolować. Łowy, jakie tu chcę opisać poprzedziła noc burzliwa, wicher szalał do rana, ulewa wypełniła przydrożne rowy, przemoczyła grunt do głębi. Nad ranem burza przycichła, wypogadzać się zaczęło, z za wysokich lasów podniosło się wesołe słońce i ciepłem swiatłem zalało okolicę a w jego blasku obfita rosa na młodej runi ozimin migotała miriardami brylantowych gwiazdeczek, lekkie błękitne opary unosiły się nad świeżą rolą a w cichem przestworzu bujały delikatne nici babiego lata. Siedmiu jeźdców, w towarzystwie dwóch pięknych amazonek wyjechało z unińskiego dziedzińca i długą linią rozciągnęło się po bliskiem polu. Ustały wesołe gwary, każdy wytężył wzrok przed siebie, przepatrywał każdą kępkę zeschłych burzanów i traw wysokich. Naraz pomknął szarak przed panią O., puszczono sforę za nim. Psy, jak rzucone sprężyny, to prężąc się lub wydłużając jak struny, zbliżały się do kota; dzieląca je przestrzeń malała raptownie. Już As dochodził zająca i miał go uchwycić, gdy ten zwinnym skokiem unika jego uchwytu i rzucając się w stronę na chwilę odsadza się na znaczną od psów metę. Tu Dwójka przecina mu drogę, daje mu obrót i podaje Asowi, który mocnym uchwytem go łapie, potrząsa nim, lecz w tej chwili inna scena zwraca naszą uwagę.

Na ognistej angielce Dianie, w szalonym pędzie mija nas, całem ciałem do grzbietu konia przylepiony adwokat X., wrzeszcząc przeraźliwie. Jak czarne skrzydła olbrzymiego ptaka rozwiewają nad nim długie poły surduta, włosy i broda zwichrzone. W kilka koni ruszyliśmy z kopyta za nieszczęsnym jeźdcem, lecz ścigłej klaczy wyprzedzić niepodobna, i widzimy z trwogą, jak koń dobiega do szosy, głębokim rowem okopanej i robi szalony skok. Krótki, rozpaczny krzyk jeźdca, który zachwiał się w siodle, wzniósł w górę ręce, zamachał niemi jakby szukał oparcia i całym ciężarem swej pokaźnej figury runął w grząskie wody, niknąc nam w nich na chwilę. Trysnęła obfita fontanna, z której omokłego wydobyliśmy nemroda w opłakanym stanie. Zaopiekowały się nim nasze amazonki, my zaś na dalsze udaliśmy się łowy, gdzie po uszczuciu kilku sztuk kotów powróciliśmy do domu na obiad, podczas którego przedmiotem ogólnej wesołości był nasz dzisiejszy bohater, który z humorem określał swe świeże wrażenie i strach doznany. Obiad dzisiejszy był w swym rodzaju wyjątkowo wesoły. Gdy wniesiono zdrowie pięknej gospodyni domu p. O., a starsza jakaś matrona życzyła jej córeczki, na co ta energicznie zaprotestowała, siedzący obok niej 8 let. synek wstaje i głośno powiada, że mamusia mówi nieprawdę, gdyż słyszał tej nocy, jak mamusia prosiła tatusia, aby jej dał córeczkę. Zapanowała w sali grobowa cisza, brzęk muchy w sąsiedniej komnacie usłyszeć by można, każdy pochylił twarz nad talerzem i zdawał się być bardzo zajęty jedzeniem. Rzucaliśmy z ukosa spojrzenia na nasze młode sąsiadki, oblane szkarłatem, na p. O., która nieśmiała pokazać swej twarzyczki do końca obiadu, siedziała jak na mękach. Jakaś grzmot-matrona, z podwójnym podbródkiem, o kolosalnych wypukłościach wszelkich kobiecych wdzięków, siedziała na prezydjalnem miejscu długiego stołu. Z podawanych jej półmisków bez ceremonji większą ich zawartość zgarniała na swój talerz, co momentalnie znów niknęło w jej przełykowej odchłani. Zdziwiony takiem obżarstwem damy zwracam się do siedzącego obok mnie, chudego jak wiór jegomościa, robiąc cichą uwagę „jak ta baba żre nadmiernie“ na co odbieram już głośną odpowiedź, „że jego żona zawsze ma doskonały apetyt“. Nie mniej było mi spiesznie, jak pani O. opuścić stół, jadnakowo czuliśmy się nieswojo!

(C. d. n.)



Korespondencje.



Z Lisowic.

W dniach, pomiędzy 16. a 26. października b. r. odbyliśmy doroczne łowy jesienne. W wybrykach klimatu straciliśmy jedyną, przysłowiową, zwykle piękną roku porę: jesień.

Tak słotnej, zimnej jesieni, uniemożliwiającej sprzęt paszy, zasiewy ozimin i zbiór okopowizny, dawno nie pamiętamy; na łowach jednak lisowickich, pod tym względem, możemy o szczęściu mówić, na dziesięć bowiem dni polowania, mokliśmy tylko jeden; szczęśliwym trafem każda noc odznaczała się obfitym opadem, dnie natomiast przemijały bez słońca wprawdzie (ono bowiem o nas już zupełnie zapomniało), lecz podczas dość suchej aury.

Wobec tej mokwy, na zalanych przeważnie leśnych przestrzeniach, mogliśmy się spodziewać obfitego ciągu słomek, lecz one, lasy w bagna przemienione, wszędzie miały do wyboru, nie kwapiąc się do swych podgórskich, nawet w najsuchszych latach, wilgotnych pieleszy.

To też ciąg słomek zastaliśmy mniej niż średni: pojawiały się w najgęstszych zapustach, jakgdyby gniazdami, w mniejszych lub większych zebraniach.

Ten zawód w największej atrakcji jesiennego polowania, powetowały nam dziki; świetny wynik czternastu ich zabitych, na czarnej, bez tropienia stopie, na pamięć przywodzi najpiękniejsze okresy tutejszych łowów; ten wynik zawdzięczamy koncetracji, wobec nieurodzaju bukwy w górach, a obficie pojawiającej się żołędzi na nizinach, dziki oczywiście, dążąc w ślad za żerem, zgromadziły się w większej ilości, ułatwiając swe prześladowanie. Dodać należy, że ilość wspomniana zabitych dzików zawiera w sobie tylko trzy warchlaki, tem świetniejszym tedy pozwala nam się cieszyć rozkładem, reszta bowiem dzików nawet od przelatków starsza, a w ich liczbie szczycimy się trzema odyńcami, które poddawane niejednej mniej surowej ocenie, na miano najpotężniejszych dziczego rodu przedstawicieli zasłużyćby mogły; dość powiedzieć, że szable jednego w tych odyńców, rekordową szczycą się wprost miarą 26 cm długości, a bez mała 3 cm. szerokości.

W ilości zwierzyny płowej, lisy zawsze tu prym trzymają, gdy tylko jednego brakuje nam do pół kopy pięknych, już zimowym włosem okrytych.

Do szczęśliwych okoliczności zaliczyć należy spotkanie nasze z dwoma żbikami; niestety, żaden z tych rzadkich przedstawicieli kociego rodu, nie wzbogacił naszego rozkładu; ale to już nie kniei wina: jeden z nich omylił czujność myśliwego i przeszedł bez strzału, a gdy napowrót z ostępu, do którego się był udał, dał się na linję strzelb wygonić, chybiono doń kulą — drugi natomiast, przez psy prześladowany, schronił się na drzewo — więc nasz? Stało się jednak inaczej; mimo oszczekiwanie przez psy i otoczenie przez dwóch chłopców z nagonki, kota nie dostaliśmy, gdyż chłopcy ci, mimo wrodzony spryt łowiecki tamtejszej nagonki, porzucili żbika na drzewie, doganiając obławę, w toku będącą, miast rozpaczliwie wołając, doczekać się kogoś, na pomoc z bronią spieszącego — za ich przykładem i psy poszły, a w ten sposób drugi drapieżnik uszedł zasłużonej, zawsze za liczne krwiożercze przestępstwa, karze.

Największe jednak przeżywaliśmy wzruszenia, spotykając wciąż świeże tropy niedźwiedzia, a raczej dwóch; wyraźnie bowiem na błotnych przesmykach, odróżnić się dawały tropy większe i mniejsze, odciśnięte przez przednie łapy (tylne, jak wiadomo, łapy, są mniejsze i odcisk ich mniejszy ślad po sobie pozostawiają). Mimo nader staranne poszukiwania, nie mogliśmy się nigdzie z niedźwiedziem spotkać: my za nim w górach, on już, niezmiernie ruchliwy, ku nizinnym pośpieszył ostępom — i odwrotnie; widocznie, poszukując żeru, ogromne przebywał przestrzenie, dbając bardzo o różnorodność pożywienia; i tak, nażarłszy się żołędzi, biegł szukać lekkostrawnych kwaśnic, borówek — i dobrze mu było na tym wikcie, gdyż nie mamy pewności, ażali już się z nami pożegnał, na widoku mając zimową, karpacką gawrę. Z braku pośpiechu w jej wyszukaniu, wróżyćby można trwanie jeszcze długiego okresu jesiennego, coby kraj od niejednej uratować mogło klęski.

Z tych coraz częstszych do naszych kniei przechadzek niedźwiedzich, wobec szybkiej rozmnoży zwierza w górach, żywimy bardzo upodstawnioną nadzieję, że się z nim w niedalekiej przyszłości spotykać będziemy i zaliczymy go, jak dawniej, do bogatych trofeów przesławnej kniei.

Na dziesięciodniowem polowaniu jesiennem 1922 r. ubito: dzików 14, rogaczy 10, lisów 29, zajęcy 26, słomek 20, jarząbków 4, sów długoogonowych (strix uralensis) 6, razem 109 — na 310 strzałów. *A. K W.*

* * *

Nowy Sącz, w listopadzie, 1922.

W Nowym Sączu istniało Towarzystwo myśliwskie, którego statut zatwierdzony został już w r. 1889, 22. lipca, l. 48218. Rewiry myśliwskie należące do „kółka“, a obejmujące po obu stronach doliny Dunajca, przed wojną roiły się od zwierzyny, tak, że na jednem polowaniu np. w Biegonicach, Podegrodziu, padało 80—100 zajęcy, parę lisów i słonek. Kto zna nasze górskie polowania, ten wie, że były to rezultaty nadzwyczajne. Stan kuropatw był również bardzo pomyślny, a na stawku w Dąbrówce polskiej zawsze w szuwarach były kaczki.

Prezesem Towarzystwa był długie lata śp. Karol Merkel, który piastował równocześnie godność delegata M. T. Ł. Śmierć prezesa, długie lata wojny światowej, sprawiły, że działalność „kółka“ prawie ustała, a rewiry porozbierali poszczególni członkowie dawnego „kółka“. W roku bieżącym w dniu 22. września dawna drużyna myśliwska zwołała walne zgromadzenie i tosamo Towarzystwo przed 33 laty założone — odżyło. Prezesem wybrano dra Edwarda Zielińskiego, delegata M. T. Ł., do Wydziału weszli p. p. Stanisław Nowakowski, Aleksander Machnicki, Stanisław Świrski i Bolesław Wittig. Zespół członków (wszyscy są członkami M. T. Ł.) i wybrany Wydział dają pełną gwarancję, że w niedługim czasie wróci dawniejsza świetność nowo sądeckiego kółka myśliwskiego, jako wzór Towarzystwa myśliwskiego ku czci św. Huberta“.

* * *

Iwanie, w październiku, 1922.

Konstatuję z przyjemnością fakt, że nie omyliłem się, twierdząc przed kilkoma miesiącami, iż rok obecny wytworzył sprzyjające warunki dla rozmnoży zwierzyny. Już kilkakrotnie miałem możność przekonania się o tem w powiecie zaleszczyckim. Dnia 12/X. w Popowcach wyszliśmy z gościnnym gospodarzem p. B. Haywasem, w 3 strzelby, w pole i po kilku godzinach złożyliśmy rozkład 9 zajęcy. W dniu tym jakąś magnetyczną siłą pchane, sunęło mi beztrwożne kłapouchy pod lufę, tak, że sam strzeliłem 8. Nadmieniam, że majątek Popowce posiada charakter stepowy, bezleśny. O całym powiecie mogę śmiało powiedzieć, że zając w tym roku jest znacznie liczniejszy, niż zeszłego. Reminiscencję pięknych, błotnych polowań

jużynieckich, tylokrotnie na łamach „Łowca“ opisywanych (obecnie Rumunja), nasunął mi stawek tyszkowiecki w powiecie horodeńskim.

Stary dwór, ocalały przed „oswobodzicielską dłonią towarzyszy ze wschodu“, kryje się w ramach uroczego parku, który przy wieczornej mgle i oparach zlewa się w jedną całość z gęstym oczeretem, a ten znów coraz bardziej rzednącem sitowiem, nurza się w tafli wodnej. Niestety, zbyt krótko danem mi było zachwycać się pięknem przyrody. Stanąłem w parku śród grupy starych olch i wsłuchiwałem się z rozkoszą w rozhowor licznej, kaczej rodziny. Widne, jak na dłoni, pływały spokojnie i pławiły się w szczęściu pełne krasy, wesołe i gwarliwe. Krótka chwila, wzlot i początek, a zarazem koniec ciągu. Pada strzał i ciska kaczora w objęcia trawnika parkowego, który jest tu stałym odbiorcą ofiar namiętności łowieckiej.

Stan sarn dotychczas jeszcze bardzo słaby i trzeba, jak już wspomniałem, kilkuletniej, intensywnej pracy, by go podnieść. Natomiast ilość dzików nie ustępuje wcale zeszłorocznej; rokują przeto wiele emocji przy zbliżającym się sezonie. Donoszę, że zawiązało się „Towarzystwo myśliwych w Zaleszczykach“. Towarzystwo posiada własne rewiry, a zespół członków i ułożony statut dają rękojmię pełnej etyki myśliwskiej, pod względenm hodowlanym i łowieckim. *Grzegorz Zerygiewicz.*

* * *

Balinka, w październiku, 1922.

Suwalszczyzna, granicząca w Prusami Wsch. i Litwą, posiada prawie że jednolity kompleks lasów państwowych, o powierzchni ca. 150.000 ha. Lasy te składają się z drzewostanów w $^3/_4$ sosnowych a $^1/_3$ liściastych. Grunt przeważnie piaszczysty, w części moczarowaty — zatem nie przedstawia warunków, sprzyjających rozwojowi zwierzyny łownej.

Według zasięgniętych przezemnie u tut. przedwojennych myśliwych informacji, obfitowały jednakże lasy suwalskie w zwierzynę, a mianowicie: łosie, sarny, zające, dziki, głuszce, cietrzewie, kuropatwy etc. — tak, że niebyło polowania, ażeby na rozkładzie nie znalazło się kilkanaście sztuk tejże.

W obecnych czasach natomiast można całymi tygodniami tropić zwierzynę łowną i polować z psami lub nagonką, a nie zobaczy się żadnej.

Przyczyna powyższego leży w rozwielmożnionem do niemożliwości kłusownictwie. Kłusownikiem jest prawie każdy włościanin, zamieszkujący tut. wioski, położone wśród lasów. Kłusownicy ci — chodząc grupami po 5-ciu przynajmniej uzbrojeni w karabiny, polują stale w lasach państwowych — nawet z nagonką i psami, a usiłującą ich zatrzymać straż leśną, ostrzeliwują. Policja na skargi Nadleśnictw w tej sprawie nic nie reaguje — natomiast bardzo dzielnie się spisuje rozbijaniem spokojnych obywateli w jej lokalach urzędowych. Na okalających lasy gruntach włościańskich lub donacyjnych, poluje, kto chce — tak bez karty na broń, jak i bez karty łoweckiej, które zresztą powojenni sui generis myśliwi — w rodzaju sekretarzy i wójtów gminnych, referentów i komendantów policji — otrzymują bardzo łatwo w tut. Starostwach. Wszystkie przesmyki i ścieżki w lasach, zastawione są przez kłusowników wnykami (sidłami drutowemi), do tego stopnia, że każdy gajowy uzbiera je codziennie przynajmniej kilkanaście sztuk, bardzo często zaś znachodzi się złapaną w nie i już nieżywą sarnę lub zająca, a nawet bydło włościańskie; mego psa musiałem kilkakrotnie z nich oswabadzać.

Złapany na uczynku kłusownik, otrzymuje zazwyczaj najwyżej 2.000 Mkp kary sądowej, z czego tenże drwi sobie, gdyż jego zyskowy proceder przewyższa kilkakrotnie wszelkie straty materjalne tego rodzaju.

Z przedwojennych łosi nie pozostała ani jedna sztuka. Wprawdzie w r. b. przeszły z puszczy Białowieskiej do tut. lasów 2 klempy, lecz jedna z nich zaraz padła „przypadkowo“ z rąk „myśliwych“, którzy za nią zapłacili po 2.000 (słownie po dwa tysiące) marek kary sądowej — druga zaś uległa z pewnością temusamemu losowi. Sarny i zające znajdują się w stadjum zaniku — głuszców jeszcze kilkanaście sztuk wegetuje, a jedynie stan cietrzewi dochodzi do normy przedwojennej. Skonstatowałem natomiast w ostatnich czasach pojawienie się większej ilości dzików i wilków.

Ciąg słonek trwał w r. b. od 15/IV. do 25/V. i był bardzo słaby. Kaczek prawie że wogóle nie było, ponieważ stan wody na tut. jeziorach, o powierzchni 7.000 ha znacznie opadł wskutek tegorocznej posuchy — tak, że oczerety i przybrzeża wyschły, co nadto ułatwiło młodzieży wiejskiej zagładę tychże przez zniszczenie jaj albo wybicie młodych kołami.

Pożądanem byłoby, ażeby prawo polowania w państw. lasach suwalskich, oraz na jeziorach, należących do Województwa białostockiego, zadzierżawiło Towarzystwo łowieckie, któreby utrzymywało straż łowiecką i zajęło się racjonalną hodowlą zwierzyny. Ogłoszona dwukrotnie przez Okr. Zarz. Lasów Państw. w Siedlcach licytacja na wydzierżawienie tut. terenów łowieckich dawała rezultat negatywny, z braku licytantów.

O ileby zaś tereny te nie zostały wydzierżawione, a Min. Roln. i Dóbr Państw. zależało chociaż trochę na doprowadzeniu rewirów do pierwotnego stanu, to winno Ministerstwo polecić Nadleśnictwom, ażeby: 1. zakładały miejsca ochronne dla zwierzyny; 2. dostarczały jej karmy zimowej; 3. straż leśna tępiła, za odpowiedniemi premiami, zwierzęta i ptaki, dla łowiectwa szkodliwe, oraz interwenjować w Min. Spr. Wewn., ażeby policja więcej pomocy okazywała Nadleśnictwom w prześladowaniu kłusowników, za których ujęcie winne być wypłacone straży leśnej i organom policji odpowiednie nagrody.

W końcu, bodajże najważniejszą i najpilniejszą rzeczą jest, uchwalenie takiej ustawy łowieckiej, którąby stała na straży prawidłowego wykonywania łowów, i brała w opiekę ochronę i rozmnożę zwierzyny łownej. *Władysław Mołodyński.*

* * *

Poznań, w listopadzie, 1922.

Pierwszy popis wyżłów dowodnych w Wielkopolsce.

Dnia 12. września odbył się na terenach Głuszyny, Piotrowa i Babek, pierwszy popis wyżłów dowodnych. Ogółem stawiono 8 kandydatów; 7 do ścisłego, 1 do ułatwionego konkursu. Przy popisach, które odbyły się w obecności 54 osób, okazało się, że wszystkie wyżły posiadały dobrą klasę i uzyskały nagrodę. Wynik jest następujący:

1. „Mars“ z nad Gopła, liczy 15 miesięcy (właśc. Ignacy Jasiński, z Strzelna) uzyskał 3-cią nagrodę i prawo do zapisania do księgi rodowodowej. U „Marsa“ wyróżnić trzeba dobrą pracę na wodzie, za farbą i zachowanie się na stanowisku;

2. „Rino“, krótkowłosisty, w 3 polu (właśc. p. Derbiński z Lubońca), uzyskał 3-cią nagrodę, temsamem prawo do wpisania w księgę rodowodową. Odznaczył się w pracy na wodzie, w warowaniu na strzał i w aportowaniu zguby;

3. „Norma“, krótkowłosa (właśc. p. Kazimierz Smulkowski ze Starej Przysieki), uzyskała 3-cią nagrodę i prawo do wpisu do księgi rodowodowej, okazała się ciętą i wyróżniła się w aportowaniu zguby i w pracy za farbą;

4. „Heiko“, szorstkowłosisty (właśc. p. Gramowski), brat „Marsa“, syn „Rolfa“ i „Bessy“, uzyskał 3-cią nagrodę i przez to prawo do wpisu w księgę rodowodową. Oprócz innych działów wyróżnił się w pracy za farbą, w aportowaniu zguby, w pracy na wodzie i był wyśmienitym w warowaniu na strzał;

5. „Ralf“, szorstkowłosy (właśc. p. Zellober z Poznania), uzyskał 3-cią nadrodę i przez to prawo do wpisania w księgę rodowodową; wyróżnił się w pracy za farbą, w aportowaniu zgubionego drapieżnika i w aportowaniu zguby i był dosyć cięty na drapieżnika;

6. „Bessy“, szorstkowłosa wyżlica (właśc. p. Bronnitz z Starego Tomyśla), uzyskała 2-gą nagrodę i prawo wpisu do księgi rodowodowej. Wyróżniła się w pracy za farbą, z podprowadzaniem luzem („Totverweiser“), w pracy na wodzie i we wszystkich ważniejszych działach. Sposób szukania, wystawiania i dociągania, był wyśmienitym;

7. „Tell“, krótkowłosy (właśc. p. Siudzik, Poznań), uzyskał 3-cią nagrodę, a z tem prawo do wpisu w ks. rod. i nagrodę honorową za ciętość. Wyróżnił się w pracy za farbą, był wyśmienitym w ciętości, w pracy polnej i na wodzie;

8. „Djana“, krótkowłosa wyżlica (właśc. p. Barkow z Jadownik), okazała się jako dobra, w pierwszem polu będąca, wyżlica, lecz że była zgłoszona do konkursu ułatwionego (Jugendsuche). niema prawa do nagrody.

Z przyjemnością stwierdzamy, że stawił zię do popisów materjał w przecięciu bardzo dobry, nie było ani jednego wyżła bezwartościowego i stwierdzamy pozatem, że Centralny Oddział Kinologiczny kroczy po drodze właściwej. Cześć łowcom!

K. Królikowski.
sekretarz C. O. K.

Adres: Poznań, ul. 27. Grudnia 7 III. (Wpisy na członków przyjmuje sekretarjat; tamże udziela się informacji. Znaczek na odpowiedź dołączyć).

* * *

Gródek Jagielloński, w listopadzie, 1922.

W lasach miejskich, w Woli Dobrostańskiej, odbyło się 21/X. polowanie, na którem w 14 strzelb ubito 4 zające. Dnia 28. październ. polowało gródeckie Tow. myśliwskie w 9 strzelb w „Lesie miejskim“ w Gródku Jagiel., gdzie padło 15 zajęcy i 1 kozioł. Stan zajęcy — jak było do przewidzenia — w tym roku jest bardzo słaby. *H. M.*



Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału w dniu 14. listopada 1922.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi Czarkowski-Golejewski i Mniszek, człon. Wydziału: Garapich, Jędrzejowicz, Dr. Kalm-Podoski, inż. Kamienobrodzki, Münter, Dr. Sander, Streer, zastępcy: inż. Ebenberger i Stefan Reichard, zaproszony Dr. H. Malsburg, delegat gródecki.

Przy sprawozdaniu kasowem wzięto pod obrady sprawę wysokości wkładki członkoskiej na r. 1923. Po żywej dyskusji uchwalono, że wkładkę na rok 1923 ustanawiać i ściągać się będzie kwartalnie, a wysokość jej na I kwartał ustalono na 5.000 Mkp., z tem, że od nowo przyjętych członków pobieranem będzie nadto wpisowe w kwocie 1.000 Mkp. Ciągły spadek waluty i ciągły wzrost kosztów administracyjnych i druku „Łowca“, uzasadniają to postanowienie Wzdziału, będące wykonaniem zapadłej na Walnem Zgromadzeniu uchwały, iż wysokość wkładki oznaczy Wydział, biorąc pod rozwagę okoliczności, wśród jakich mu z końcem b. r. wypadnie pracować. Budżet Towarzystwa na ten I kwartał przedstawia zaś się następująco: w przypuszczeniu, że około 800 członków płacąc po 5.000 Mkp., wpłaci 4,000.000 Mkp., pokryć z tego będzie można druk „Łowca“, czyli wydatek 2,400.000 Mkp. (przeciętnie po 800 tysięcy Mkp. za jeden nakład), dalej opał, światło i usługę, 120.000 Mkp., wynagrodzenie personalu biurowego 500 000 Mkp., koszt druków i innych przyborów kancelaryjnych tudzież porta pocztowego 160.000 Mkp., koszt koniecznego uzupełnienia bibljoteki i prenumeraty czasopism fachowych, 120.000 Mkp., wkładkę do zawiązać się mającego w najkrótszym czasie Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń łow., 500.000 Mkp., tudzież różne nieprzewidziane wydatki, na które rezerwować należy przynajmniej kwotę 200.000 Mkp.

Wydział tuszy, że owa bądź co bądź znaczna podwyżka wkładki, nie wywoła jednak ani dezercji z szeregów, ani nie obniży znacznie napływu nowych członków; żywi on bowiem nadzieję, że gorliwi, a rzeczy świadomi hodowcy i myśliwi uprzytomnią sobie, że działalność Towarzystwa ani się dziś nie ogranicza, ani tem mniej w przyszłości nie będzie mogła się ograniczyć na samem wydawaniu „Łowca“, bo Towarzystwo ma nadto ogólny cel podniesienia kultury łowieckiej w kraju, a cel ten wszelkimi do dyspozycji stojącymi mu środkami osiągnąć się stara. Członkostwo Towarzystwa wymagające znaczniejszych ciężarów nie jest bynajmniej równoznaczne z prostą prenumeratą „Łowca“, która oczywiście musi być znacznie niższą, bo musi być zastosowaną tylko do kosztów samego wydawnictwa i do cen innych, w podobnej, jak „Łowiec“ formie utrzymywanych wydawnictw. Tuszymy, jednem słowem, że żaden prawdziwy myśliwy w terenie oficjalnego działania MTŁ nie zechce poprzestać dlatego tylko na zwykłej prenumeracie „Łowca“. że mu ona wypadnie taniej, niż uiszczanie wkładki członkoskiej i otrzymywanie z tego tytułu „Łowca“ w dodatku „bezpłatnie“.

Wysokość tej zwykłej prenumeraty dla nieczłonków oznaczać będzie administracja pisma w miarę kosztów nakładu, o ile możności, kwartalnie.

Następnie wicepr. Mniszek i sekretarz Wydziału Sander, jako delegaci do komisji ku ułożeniu statutu Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń łowieckich, zdali sprawę z wyników pracy tej komisji w dniu 27. października w Warszawie, zawiadamiając, że projekt statutu tego Związku został tam po 8 miu godzinnych naradach ułożony i że przedłożony on zostanie Zjazdowi myśliwskiemu, jaki w dniach 6. i 7. stycznia 1923 zostanie zwołany do Warszawy. Wydział, przyjąwszy to sprawozdanie do wiadomości, wyznaczył też natychmiast przedstawicieli naszego Towarzystwa na ten Zjazd.

W myśl referatu wicepr. Czarkowskiego-Golejewskiego mianowano w dalszym ciągu delegatami Towarzystwa: Edmunda br. Larischa z Bulowic i Jerzego Krzemienia z Pisarzowic na powiat bialski, Teofila Wysockiego z Polanki wielkiej i Dr. Antoniego Ślosarczyka z Oświęcimia na powiat oświęcimski, Wiktora Kosterkiewicza z Mizunia na powiat doliniański, Stefana Gutowskiego z Rozwadowa, na powiat tarnobrzeski, inż. Michała Szurka, dotychczas delegata w powiecie kossowskim, na powiut kałuski, Jana Marcinkowa dotychczas delegata w powiecie doliniańskim, na powiat liski.

Nadto przyjęto do wiadomości rezygnację Eugeniusza Stadlera z godności delegata na powiat tłumacki.

Inne w sprawach delegackich poczynione Wydziałowi propozycje, są przedmiotem porozumienia się Wydziału z delegatami w danym powiecie już dawniej mianowanymi, względnie z seniorami odnośnych delegatur.

W poczet członków przyjęto:

Antoniego Bohdana, Brodzkie kółko myśliwych, Stanisława Czerskiego, Karola Fröhlicha, Adolfa Gawła, Edmunda Grunwalda, Karola Grunwalda, Stefana Gutowskiego, Teodora Hulimkę, Lesława Katzera, Stanisława Kowala, Karola Maiwalda, Włodzimierza Moyseowicza, Władysława Pawłowskiego, Włodzimierza Pląskowskiego, Adama Romera, Aleksandra Seńkowskiego, Dr. Marjana Strowskiego, Stanisława Świrskiego, Dr. Hieronima Szantruczka, Włodzimierza Wilanda, Zygmunta Welca, Edmunda Wilczka, Władysława Prus Wiśniewskiego, Stanisława Zagórskiego i Romana Zubczewskiego.

Inne zgłoszenia są w toku informacji u delegatów.

Na wniosek wiceprezesa Mniszka uchwalono, iż Wydział M. T. Ł. podejmuje inicjatywę w sprawie utworzenia, a raczej reaktywowania Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich. Dla sprawy tej wybrano komisję w osobach Panów Mniszka, Dr. Kalm-Podoskiego i Stefana Reicharda. Zgłoszenia na członków klubu można już obecnie przesyłać na adres wicepr. Alberta Mniszka, ul. Kalecza l. 10 a. Wysokość wpisowego i wkładki zostaną później ustalone.

Załatwiono kilka spraw opinji łowieckiej według referatu p. Streera.

Termin następnego posiedzenia ustalono na dzień 22 grudnia 1922, godzina 5-ta popołudniu.

OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Chcąc uregulować wczas wysokość styczniowego nakładu „Łowca“, Wydział wzywa członków Towarzystwa, by **wkładkę za I kwartał r 1923 w kwocie 5.000 Mkp.** nadsyłali załączonymi do niniejszego numeru czekami P. K. O., już w ciągu grudnia b. r., przestrzegając ich, że nie spieszącym się z opłatą wkładki będzie wysyłka „Łowca“ w miarę okoliczności już na styczeń r. 1923 wstrzymaną. Bez wyjątku wstrzyma się „Łowca“ tym wszystkim, którzy nie uiszczą wkładki w ciągu stycznia 1923. Przy wypełnieniu czeku, należy najdokładniej podać imię, nazwisko i adres (miejscowość i pocztę), zapisków tych bowiem użyjemy dla skontrolowania księgi członków, na podstawie której przystąpimy niebawem do wydania drukowanych spisów członków i delegatów. Nie jest wskazanem by Panowie Delegaci jednając nowych członków pobierali od nich z góry pieniądze; sprawę pieniężną bowiem najdokładniej załatwi biuro Towarzystwa, gdy natomiast praktyka uczy, że w wypadkach, gdzie delegaci ściągali z góry zaliczki, biuro było, mimo to, zmuszone dopominać się nowo przyjętego członka o jakąś dopłatę czy to za odznakę, czy też za porto „Łowca“ czy wreszcie za koszt korespondencji.

Prenumeratorzy, nie członkowie Towarzystwa zechcą uiścić prenumeratę wczas, według ceny podawanej zawsze w nagłówku „Łowca“, w braku bowiem przedpłaty będzie im dalsza wysyłka „Łowca“ już z dniem 1. stycznia 1923 zastanowioną.

Ponieważ zdarzały się wypadki, że członkowie Towarzystwa nadsyłali w ciągu roku osobno prenumeratę, co powodowało następną z nimi korespondencję, podnosimy jeszcze raz wyraźnie, że opłacający wkładkę członkoską Towarzysze nieopłacają już żadnej kwoty osobno za „Łowca“, otrzymują go bowiem w dodatku, „bezpłatnie“; ceny zatem prenumeraty umieszczane w nagłówkach pisma ich nie obchodzą, bo dotyczą one tylko zwyczajnych prenumeratorów.

Daninę myśliwską złożyli w dalszym ciągu: Dr. Aleksander Zawadzki 5000, Stanisław Wyhowski 5000, Dr. Janusz Trzcieniecki 1000, Józef Świdziński 1000, Jan Łosowski 1000, Jan Wojtyński 1000, Ludwik Glodt 1000, Towarzystwo myśliwskie w Czortkowie 10.000, Adam Ksawery Przybylski 1000, Józef Wałach 5000, Marceli Bogdanowicz 3000, Stefan Bogdanowicz 2000, Zygmunt Strigl 1500, Zdzisław Eder 2000, Jan Skuciński 1000, Jan Smutny 2000, Alojzy Zeleźnik 1000, Stanisław Biesiadecki 4500, Izydor Piórkowski 2000, Emil Wysocki 2000, ks. Bronisław Swieykowski 5000, inż. Czesław Dębowski 3000, Wincenty Cebulski 4000, Adam Michałowski 5000, Juljan Bielański 1000, Franciszek Fałek 3000, Stefan Dziewolski 1000, Tadeusz Skibniewski 1000, Kółko myśl. 34. p. p. Biała Podlaska 1900, Włodzimierz Szczurowski 5.000, Stanisław Szancer 2000, Tadeusz Śmiałowski 5000, Zbigniew Kierski 5000, Tadeusz Stanclik 3000, Wiktor Sobolewski 1000, Ignacy hr. Krasicki 5000, arc. Karol Albrecht Habsburg 10.000, Zarząd dóbr Bąkowice 5000, Mieczysław Agopsowicz 10.000, Stanisław Morawetz 1000, Dr. Jan Kalm-Podoski 1200, inż. Edmund Kamieniobrodzki 10.000, Stefan Reichard 6.000, Stanisław hr. Wiśniewski 5000, Gustaw Müller 1000, Dr. Henryk Malsburg 2000, Lesław Katzer 3000, razem 154.300 co doliczając do wykazanej w numerze 11 stym kwoty 2,090.940, otrzymujemy kwotę 2,245.240 Mkp. jako dotychczasowy wynik dobrowolnej daniny myśliwskiej.

Członków pamiętnych apelu zamieszczonego w numerze 11-stym „Łowca“, którzyby jeszcze w ciągu grudnia br. dobrowolną daninę myśliwską nadesłać chcieli, prosimy usilnie, by takie przeznaczenie nadesłanej kwoty na odcinku czeku P. K. O. wyraźnie zaznaczali, a to ze względu, że w ciągu grudnia w myśl powyż zamieszczonej odezwy wpływać też będą już wkładki na I kwartał r. 1923. Odróżnienie wśród takich okoliczności kwot na daninę od kwot na wkładkę nadsyłanych bez oznaczenia ich przeznaczenia (co wszak nie nastręcza najmniejszych trudności wysyłającemu pieniądze) byłoby dla biura Towarzystwa nieraz bardzo trudnem lub bez kosztownej korespondencji wprost niemożliwem.

Panu Stanisławowi Biesiadeckiemu za bezinteresowne złożenie Towarzystwu 7 roczników „Łowca“, z ktorych zwłaszcza brakujący nam w bibliotece komplet rocznika z r. 1914 jest dla Towarzystwa cennym nabytkiem, składamy niniejszem serdeczne podziękowanie.

Z przykrością, ze względu na obiecaną korespondencję dla „Łowca“ dowiadujemy się, że wyprawa do Afryki zamierzona przez Hrabiów Potockich z Łańcuta została zaniechaną.

Otrzymujemy często zapytania, skąd można sprowadzić zające, koropatwy lub bażanty dla hodowli. Ponieważ jest naszym obowiązkiem takie chwalebne chęci myśliwych — popierać, a zaś wojna zmieniła gruntownie stosunki przedtem w tym względzie istniejące, upraszamy usilnie przedsiębiorstwa handlu żywą zwierzyną, tudzież prywatnych hodowców, by się w „Łowcu“ chcieli ogłaszać lub przynajmniej podali wiadomość o sobie do naszego biura.

Jeżeil kto z czytelników posiada egzemplarz statutu dawniejszego klubu hodowli i tresury psów, to prosimy usilnie o złożenie go w biurze Towarzystwa.

* * *

Łepitymacja dyplomatyczna daje prawo noszenia broni i polowania.

Starostwo powiatu lwowskidgo. L. 39353/22.

Lwów, dnia 18. września, 1922.

Do

wszystkich Posterunków Policji Państwowej

w Powiecie.

Okólnik (89) Min. Spr. Wewn. ustala, że legitymacja dyplomatyczna członków ciała dyplomatycznego, wydana zawsze po porozumieniu się z Min. Spr. Zagr., winna być uważana jako dostateczny dowód na prawo posiadania i noszenia broni krótkiej i myśliwskiej, oraz na prawo polowanla (Dzien. Urzęd. Min. Spr. Wewn. M/922. Starosta powiatu lwowskiego

Żeleski w. r.

* * *

Odpis

Starostwo w Nowym Sączu. L. 35277/Cel.

Nowy Sącz, dnia 6. października, 1922.

Zamknięcie polowania na zające.

Do

Wydziału Spółki łowieckiej

w Barnowcu, Biczycach niem., Chełmcu n., Chochorowicach, Czaczowie, Rdziostowie, Karowie, Białowodzie, Starej wsi, Tęgoborzy, Zawadce, Skrzetli, Rojówce, Świdniku, Rąbkowej, Łososinie dolnej, Tabaszowej.

Na podstawie § 57. ust. łowieckiej z 13. lipca 1909., Dz. u. kr. Nr. 2. ex 1910, Starostwo w Nowym Sączu, po porozumianiu z Wydziałem powiatowym i delegatami Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego — zamyka polowanie na zające w tamt. okręgu łowieckiego na przeciąg lat 2, t. j. do 31. stycznia 1924, ponieważ sposób wykonywania prawa polowania w tamt. okręgu — nie da się pogodzić z zasadami gospodarki łowieckiej i zagraża zupełnem wytępieniem zwierzyny.

O tem zawiadamia się Wydział Spółki łowieckiej z poleceniem natychmiastowego zakomunikowania treści niniejszego zarządzenia dzierżawcy tamt. okręgu polowania z pouczeniem, iż winni przekroczenia tego zakazu ulegną karom po myśli § 90. i 91. wyż. cyt. ustawy.

O zawiadomieniu dzierżawcy o zamknięciu polowania — należy Starostwu do dni 3 donieść.

Równocześnie odnośny posterunek Pol Państw. otrzymuje polecenie jaknajściślejszego dopilnowania, by wykonywanie prawa polowania w zamkniętym okręgu natychmiast zaniechano.

Starosta

Kępiński m. p.

Zasady poprawnej ortografji polskiej.

Chcąc ujednostajnić pisownię w „Łowcu“ i zastosować ją do najnowszych zasad, zatwierdzonych przez Akademję umiejętności, podajemy naszym Czytelnikom najważniejsze: w deklinacji zaimkowo przymiotnikowej uważa się nie, jak dawniej, na rodzaj, lecz na końcówkę mianownika, pisze się n. p.: Dobre rogi, dobrym rogiem, dobremi rogami. Silny jeleń, silnym jeleniem. Silne jelenie, silnemi jeleniami. Dobrzy ludzie, dobrymi ludźmi. W przysłówkach pisze się: potem, nim, zanim, zatem, czem.

Wszystkie bezokoliczniki kończą się na *ć* albo na *c* — a więc pisze się: biec, móc, prząc, przysiąc, oblec i t. d.

W rzeczownikach kończących się na *stwo* w formach utworzonych od przymiotników kończących się na *wy*, opuszcza się *w* — a więc pisze się: myślistwo, lenistwo (jednak pisze się myśliwski).

Ptak, dotąd słonka, pisze się i wymawia: słomka.

Odpowiedzi Redakcji.

W. P. Wiktor S. Ogromnie zależy nam na kontakcie z kresami i bardzo się interesujemy tamtejszymi stosunkami łowieckimi, to też wdzięczni bardzo W. Panu jesteśmy za wiadomości Korespondencje umieszczamy tylko bardzo aktualne, z powodu braku miejsca, w raz na miesiąc wychodzącym „Łowcu“ i dlatego korespondencji pańskiej nie umieściliśmy. Wiersz pański, świeżo nam nadeszły, do druku się nie nadaje i w „Łowcu“ umieszczony nie będzie.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.